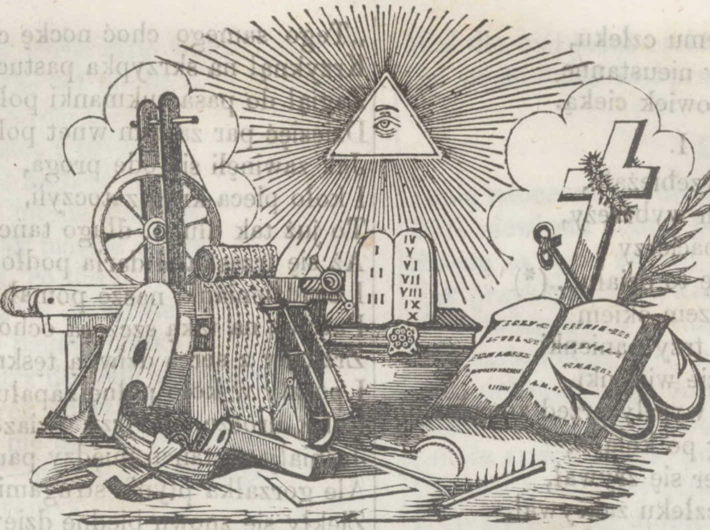
№ 31.

Warszawa

Dnia 22 Lipca
(3 Sierpnia)
1856.

Niedziela

12ta PO ŚWIĄT-
KACH.



KANTOR GŁÓWNY

W DRUKARNI J. UNGER
przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych Warszawskich płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Boże! który wszechmocność Twoję najbardziéj odpuszczaniem i litowaniem się nad nami okazujesz, użycz nam łask obfitych, abyśmy starając się o Twe obietnice, dobra niebieskie otrzymali, (Modlitwa kościelna na niedzielę 12 po Świątkach).

LEGENDA

O cudownéj Matce Boskiéj Studziańskiéj.

—

Wstęp.

Dobry człowieku! co chcesz źrenicę
Cieszyć widokiem Bożego cudu,
Z małym tłomoczkiem idź nad Pilicę
Sam, albo w tłumie bratniego ludu.
A kiedy ujrzysz we świętej trwodze
Kościół, wsławiony cudowną Twarzą,
O Małoszyce pytaj po drodze,
Łatwo Ci ludzie tę wieś pokażą:
Leży o kilka staj od kościoła,
Zejść do niéj trochę z gościńca trzeba.
Wioska nieduża, ale wesoła,
Lud w niéj poczciwy i ma dość chleba,
Znów do gościńca wrócić przez pole
I minąć kościół, to zaraz blisko
Widać Studziannę trochę na dole, (1)
. . . .
Człowieku dobry! czy to nazwisko
Przyjemnych spomnień w tobie nie budzi?
Kiedyś był jeszcze nieduże chłopię,
Lubiłeś pewnie od starych ludzi
Słuchać o raju i o potopie,
I o Jezusie, co nam raj wrócił,
I o krainie swojéj ojczystéj.
Czy ci kto wtedy słówka nie rzucił
I o Studziańskiéj Matce Przeczystéj?
Możeś ty pisklę, co go w gniazdeczku
Nie ogrzewała nigdy macierza.
Sierotaś może ... nikt przy łóżeczku
Rączek nie składał ci do pacierza,
To któż miał tobie nad małą główką
O cudach Bożych nucić pieśń miłą?
Albo choć jakie natrącić słówko,
Co się w Studzianny naszéj zrobiło?
Posłuchaj teraz opowiadania,
Dowiesz się, na co o Małoszyce
Powinien ludziom czynić pytania,
Kto się dostanie już nad Pilicę.
I o Studzianny wszystko się powie,
Jaki tu właśnie cud był spełniony....
A jak z wysoka Pan Bóg da zdrowie,
Pamiętaj zajrzyć kiedy w te strony.
Trzeba odwiedzić Najświętszą Pannę,

(1) Studzianna leży o mil dwie od Opoczna.

Ona jest Matką każdemu człeku,
Co mu zpod serca łzy nieustanne
Cisną się w oczy i z powiek cieką.

I.

Dużo w Pilicy wód przebieżało,
Koło zielonych miłych wybrzeży,
Dużo zmówili ludzie pacierzy
Od tego czasu, jak się to działo....(*)
Były zapusty...weselszem okiem
Pogládał każdy, więc trzy panienki
Rumiane, jako w sadzie wisienki,
Gdzieś ze Studzianny wyszły przed zmrokiem.
Leżał na drodze śniég po kolana,
Czasami jeszcze wicher się zrywał,
Swiat przed oczyma człeku zakrywał,
A wściekłość zwiększał coraz od rana.
Ale panienkom to nie szkodziło,
Im się wyskoczyć chciało oberka,
Bo ich sumienie, jako iskierka
Cichym i czystym blaskiem świeciło,
A jeno chyba takiemu człeku
Nie chce się z ludźmi zabawić szczerze,
Co mu wesołość zbrodnia odbierze,
Co na sumieniu stał się kaleką.
„Serce tam chłopcom kęs nie wyskoczy,
„Gdzie się Studziańskie kryją rybeczki,“
Mówiły sobie z śmiechem dzieweczki,
Na Małoszyce zwracając oczy.
Dopiero jak się pole skończyło,
I koło kuźni weszły w opłotki,
Wesołe ścichły naraz szczebiotki,
Jakieś przeczucie niepokoiło.
Chciały od siebie smutek odpychać
O spodziewanym tańcu myślami;
Ale im świstał wiatr za uszami,
A w tym poświście płacz było słychać.
Niby ktoś wołał: „niech się w téj chwili
„Uroda lepiéj w ziemię zagrzebie,
„Albo zawiśnie gwiazdką na niebie,
„Niż żeby ludzie na nią patrzyli“.
Takie wołanie jeszcze słyszały,
Do Małoszyckiéj wchodząc gospody;
A tam już było luda jak wody,
Skrzypki przez okno wesoło brzmiały,
A grajek takie wygrywał dziwy,
Że człek nie wiedział czy lepiéj skakać,
Czy siąść za stołem i sobie płakać,
Ale był w duszy bardzo szczęśliwy.

(*) Roku pańskiego 1664.

„Tego samego choć nockę całą!“
Krzyknął na skrzypka pastuch wesoły,
Zagiął do pasa sukmanki poły,
Dziesięć par za nim wnet poleciało.
Jak zawinęli się ode proga,
I koło pieca krąg zatoczyli,
To już tak długo, długo tańczyli,
Aż się trzaskami darła podłoga.
I Studzienianki nasze pomału,
Patrząc na taką szczerą ochotę,
Zrzuciły z serca dziwną tęsknotę,
I poszły w koło pełne zapału.
Lube, urocze, jak trzy gwiazdeczki
Jaśniały w tańcu między pannami,
Ale gorzałka płynie strugami,
Zlękły się znowu biedne dzieweczki.
Słyszą wyraźnie przestrogę z nieba,
Że w któréj izbie pijaki piją,
Tam z jasnem oczkiem i białą szyją
I gładkiem licem chować się trzeba.
Sprosne wejrzenia mieli żołnierze,
Co ich tak chmura izbę zaległa;
Żebrząca babka nawet postrzegła,
Że ich do złego ochota bierze.
Więc się z tą babką panny zmawiają;
Niema sposobu....jedna ucieczka,
Ale im znowu szkoda taneczka,
Co wziął ich dusze aż gdzieś do raju.
Przytem na dworze bardzo źle słychać;
Mroźny po drzewach wicher szaleje,
Gospodą, niby gałązką chwieje;
W żalu panienki poczęły wzdychać,
Śliczne im twarze łzami zaciekły;
Ale co począć?.... odeszły z ciżby
I pocichutku wybiegły z izby
Pod czarne niebo na wicher wściekły.
Żeby im raźniéj było po nocy,
Znalazły sposób biedne dziewczyny:
Drobniuchne z sobą splotły rączyny,
I to im dużo dodało mocy.
Omackiem przeszły kawałek drogi,
Ale mróz członkom dzielność odbiera,
A wicher oddech w piersiach zapiera.
Oj, a daleko ojczyste progi!
Gdzie las na górze szumiał dębowy,
Tam się zbłąkały już do ostatka;
Jakże im pachnie matczyna chatka,
Kiedy przed niemi grób już gotowy!
Wszystkiego naraz było im szkoda:
I rosochatéj w sadzie jabłoni,
Co się na wiosnę jak zorza spłoni,

I łąk rozkosznych, gdzie idzie woda.
Och! żal im było, że już nie będą
W izbie obrazów stroić ziołami,
Ani w godzinę szarą z myślami
Koło okienka pod kądziel siędą.
I żal im było, że młode zdrowie
Z śliczną urodą tak marnie zginie,
Jako ten kwiatek, co burza minie,
A jego niema już na dąbrowie.
I żal im było, że biedna matka
Drzwiami nazajutrz do sieni skrzypnie,
I od wołania córek ochrzypnie,
A już pełniejsza nie będzie chatka.
Iść już nie mogą—pod dębem siadły,
Zagasł ostatni promyk otuchy,
W sercach nie miały nic oprócz skruchy.
Aż z nieba krople pociechy spadły.
Mówi z nich jedna: „płakać nietrzeba,
„Bo nam to pono nic nie pomoże,
„Jutro, jak wstaną rumiane zorze,
„My patrzeć na nie będziem już z nieba,
„Mamy tam drugą Matkę— Maryję,
„Wysoko miejsce dla nas już robi,
„Ucztę z niebieskich uciech sposobi,
„Z jasności Bożéj sukmanki szyje.
Pragnie nam cnotę naszą nagrodzić,
„Żeśmy się dla Niéj tańca wyrzekły,
„I w taki wicher z izby uciekły—
„Toć się już trzeba z śmiercią pogodzić.
„O Boże! zeszlij swego Anioła,
„Niech nas otuli skrzydły białemi—
„I naszą matkę pociesz na ziemi,
„Jak stanie bez nas we drzwiach kościoła.“
Zamilkła— potem oddały sobie
Nawzajem uścisk ostatni, ciepły—
Za chwilę członki do szczętu skrzepły...
I cicho w miękkim, bieluchnym grobie.
Jeszcze straszniejszy wicher się ruszył—
Ze wściekłym szumem uderzył w dęby,
Z konarów zrzucił śniegowe kłęby,
Mogiłą śliczne ciała przyprószył.
W takiéj pościeli nasze panienki
Przez całą zimę miały noclegi,
Dopóki z góry nie zeszły śniegi
Przed rumieńcami ciepłéj jutrzenki.
Przechodzień święte napotkał zwłoki,
Matka poznała swe ukochane
Córy, krynicą łez opłakane—
Westchnęła sobie do nich w obłoki,
A lud z domysłów powieść wysnuwał—
Tę górę nazwał *Górą Dziewiczą*,
Miał dla niéj jakąś cześć tajemniczą—
Ha! może ludek co i przeczuwał...

II.

Panią naonczas w studziańskim dworze
Była niewiasta dobra, pobożna (**)
Swiętą za życia zwaćby ją można,
Tak przykazanie chowała boże.
Choć ludzie zwali ją starościną,
I ze czcią kładli u jéj nóg czoła,
Ona cichego postać Anioła
Brała na siebie pokorną miną.
Lubiła szukać, gdzie pod powieką
Cichemi łzami oczy płakały,
Z szczęściem jéj dłonie się wyciągały,
Żeby co ulżyć takiemu człeku.
Mieszkał z nią wespół i brat rodzony; (***)
A był człek także bardzo poważny.
Raz ich oboje interes ważny
Wyciągnął z domu w dalekie strony.
Podstarościemu klucze oddali,
Żeby uczciwie rządził dobrami.
Biegły miesiące za miesiącami,
A oni z drogi nie powracali;
Aż raz w jesieni nadeszły listy,
Że państwo wkrótce do dworu zjadą.
Podstarościemu nakaz ten kładą,
By dla nich pokój wyrządził czysty.
Więc podstarości dla robotnika
Przeznaczył dużo grosza i chleba,
Niech państwo przyjdą w dom jak do nieba,
Niech im z każdego pachnie kącika;
Dworek się w wielu miejscach rujnował,
Ręka mularza była konieczna,
Wojciech osoba dosyć stateczna
Z tłomoczkiem z innéj wsi przywędrował.
A podstarości tak mu powiada:
„Wyglądać jeno pani i pana;
„Więc się o pośpiech prosi asana.
„Na czas nie będzie, grosza się nie da.“
Mularz był biedny i lubił pracę,
By jeno dobrą odebrać płacę.
Nie zjadł uczciwie, nie dospał nocy,
Tem żonę z dziećmi chciał uszczęśliwić,
I niepowinno nikogo dziwić,
Że się nabawił ciężkiéj niemocy.
Pan podstarości dbał o mularza,

(**) Anna Starołęska.

(***) Adam Zbąski.

Póki ten mularz ręce miał zdrowe;
Ale jak zasłabł, ani mu w głowę,
By posłać jemu pomoc lekarza.
Sponiewierany starzec sędziwy,
Żebrał litości w czeladniéj izbie,
Szczęście, że w licznéj dworaków ciżbie
Znalazł się jakiś człek litościwy.
Tacy tam byli, co sama pani
Uczciwe dała im wychowanie,
Więc chorych dziadków opatrywanie
Lubili, z młodu tak przyuczani.
Ci wszystkie chwile wolne od pracy
Przy męczenniku tym przesiedzieli;
Lecz na lekarstwa grosza nie mieli,
Nie mogli bólu odjąć biedacy.
Że mularz nie był studziański człowiek,
Skarga nie doszła rodzinnéj strzechy.
W przedwiecznym Bogu szukał pociechy,
A łzy jak woda ciekły mu z powiek.
Obraz Przeczystéj Boga Rodzicy
Po izbie walał się w poniewierce:
Postrzegł go chory, biło mu serce,
I już z obrazu nie zdjął źrenicy,
Jeno się modlił.
Po odmówieniu szczerych pacierzy
Raz się biednemu wyraźnie zdało,
Że go nic w ciele nie dolegało,
Że twardy barłóg pod nim nie leży.
Uczuł się lekkim, jak gdyby piórko,
Co jeno z wolnym wietrzykiem frunąć,
Albo po ślicznem niebie się sunąć
Razem z sinawą przelotną chmurką.
Pomyślał sobie, że niedaleki
Jest onéj wielkiéj chwili konania;
Do żelaznego w mogile spania
Chciał już z ufnością skłonić powieki.
A wtem go ocknął głos jakiś miły
Do anielskiego podobny pienia,
Dziwnego prostak doznał wzruszenia,
Bo od obrazu słowa dzwoniły.
„Wstań już, Wojciechu, bo jesteś zdrowy,
„Moc moja większa niż moc natury,
„Wstań, a na szczycie Dziewiczéj góry
„Niech będzie dla mnie kościół gotowy.
„Upodobałam to miejsce sobie,
„Że tam trzy one czyste panienki
„Aż do rumieńca ciepłéj jutrzenki
„Przespały w zimnym, bieluchnym grobie.“
Poruszył mularz ręką i nogą,
I uczuł w członkach moc niespodzianą,
Więc przed obrazem zgina kolano,
Przejęty jakiemś szczęściem i trwogą.
I drżącym głosem tak się odzywa:
„O Matko! grosza nie mam we skrzyni
„Na budowanie twojéj świątyni,
„Choć mi do Ciebie serce się zrywa.“
Odrzekł mu na to głos od obrazu:
„Ty się nie frasuj nic o pieniądze;
„Moją opieką wszystko rozrządzę,
„Nie braknie wapna, drzewa, ni głazu.“
Wstał z łoża starzec szczęsny nad miarę,
Swoje widzenie ludziom ogłosił,
Na cześć dla Twarzy Cudownéj prosił,
Ale nie wszyscy dali mu wiarę.
Ci ludzie dobrzy, co mularzowi
Usługiwali z taką ochotą,
Wzięli do serca wieść oną złotą
O bożym cudzie— i byli zdrowi.
A podstarości stał nad chłopami,
Co na podwórzu ciosali belki,
Rozśmiał się, w tłumie śmiech wzniecił wielki
I wnet mu ściemniał świat przed oczami.
Aż mularz powiódł go do obrazu,
Cud nowy zdjął mu ślepotę z powiek,
A cała rzesza, jak jeden człowiek
W proch uderzyła krzyżem odrazu.
Niebawem ze wsi ludzie się zeszli,
Szczęście jaśniało w każdéj źrenicy:
Do urządzonéj nagle kaplicy
Ze czcią głęboką obraz przenieśli.
Państwo przybyli w kilka dni potem,
Mularz się do nich uciekł z prośbami,
Przyjmują prośby z rzewnemi łzami,
I wnet poczęli szafować złotem.
Na górę głazów zwieziono wiele,
Na belki kawał wycięto lasu,
I po upływie krótkiego czasu
Obraz już w nowym jaśniał kościele.
A na cześć większą Najświętszéj Panny
Państwo aż z Rzymu księży przywiedli.
Jak Filipini w klasztorze siedli,
Nowe zakwitło życie w Studzianny.
Ci księża mocą żelaznéj woli
Zadziwiające rzeczy robili,
Z puszką po kweście sto lat chodzili,
Aż drugi kościół wznieśli powoli.
Dzisiaj ten kościół dziwnie wspaniały
Przechodnia oczy zajmie koniecznie,
Obraz cudowny w nim ostatecznie
Jest umieszczony dla wiecznéj chwały.
Przy tym Obrazie czasy różnemi
Niemało cudów jeszcze widziano,

W kościelnych księgach wszystkie spisano
Na chlubę naszéj ojczystéj ziemi.

III.

Proszę obaczyć naszą Studziannę,
Jakim dziś ruchem jest ożywiona!
Jakaś tęsknota nieugaszona
Pielgrzymki ściąga tu nieustanne.
A kto sam wyrósł we świętéj wierze
I jéj wpływ błogi uczuł dokładnie,
Gorącem sercem łatwo odgadnie,
Zkąd się ta dziwna tęsknota bierze.
Człek zawsze smutek jakiś ma w duszy!
Jeśli własnego nie posiadł mienia,
Grosz musi krwawo robić z kamienia,
I troska o chleb kości mu suszy.
A jeśli chleba dość ma w komorze,
I na chleb zdziebła nie braknie soli,
To jeszcze biedne serce go boli,
Że mu zakryte Oblicze Boże.
Bo on tę cząstkę ma w sobie czystą,
Co jéj w dół grabarz z kośćmi nie grzebie,
Co jéj wesoło będzie aż w niebie
Z oną światłością tam wiekuistą.
Kiedy człek spłacze, co w duszy boli,
W tem odrobinę ulgi ma jeno;
Więc w takie miejsce bóle go żeną, (a)
Gdzie się wypłakać może dowoli.
Niech wie, że tego miejsca nie najdzie
Aż gdzieś daleko, bardzo daleko:
Za siódmym lasem, dziesiątą rzeką,
Czy jeszcze daléj— on wszędy zajdzie.
A takie miejsce dziś jest w Studzianny!
Niech łza przy sercu cięży kamieniem,
Wyjdzie na oczy z pierwszem wejrzeniem
Na Twarz cudowną Najświętszéj Panny.
Jakże tu miło w owe miesiące, (*)
Kiedy pielgrzymki się zaczynają!
Wciąż okoliczne pola śpiewają
Przez tłumy zdala nadciągające.
A ta Panieńska Góra wsławiona,
Oblubienica już niedaleka
Pod czystem niebem na gości czeka—
A jéj sukienka taka zielona!
Szumią przy murach kościelnych drzewa,
Zapachem każdy oddycha listek—
Ludek się skruchą przejmuje wszystek,
Dochodzi mety i wdzięcznie śpiewa.—
Jest za kościołem nieduży wzgórek.
Na nim kamienna sterczy figura—
Tam rozpościera się tłum jak chmura,
I tam najpierwszy mówi paciorek.
Chwilkę zaczeka na powitanie—
Wychodzi z krzyżem kapłan z kościoła,
Ludzie go widzą jakby Anioła,
Co od Maryi zszedł na spotkanie.
A niech się ozwie ten sługa boży:
„Przed Obraz nieśmy serca bez zmazy,
„Przebaczmy bliźnim naszym urazy“
Wrogowi u stóp wróg się położy.
Potem się ciśnie tłum do świątyni—
Trudno opisać, jakie wrażenie
Przy samem wejściu pierwsze widzenie
Cudownéj Twarzy na wszystkich czyni.
O twarde głazy czołem uderzą;
Jak rykną płaczem, aż zadrżą ściany,
Jakże płacz taki im pożądany!
O! gdyby skonać w takim pacierzu!
Bo z temi łzami żale wycieką
I wszystkie smutki i niepokoje,
Jakby je Pan Bóg w ręce wziął swoje
Aż niebo widzi się niedaleko!
Jak się tak spłaczą biedne ludziska,
Czują, że milsi niebu się staną;
Błogoż im wtedy, zgiąwszy kolano,
U świętéj wiary grzać się ogniska!
I dzień im cały w skrusze przeminie;
Niebieskiéj łaski rosa wciąż spada
I do pacierza ręce układa,
Jedna łza oschnie, druga napłynie.
Dopiero kiedy słonko obaczą,
Płonące nizko ponad lasami,
To ze swojemi zawiniątkami
Poczną się krzątać i znowu płaczą.
Jeszcze pamiątki jakiéj żądają—
Więc do księżego idą ogrodu,
Szumi tam lasek brzeziną młodą;
Z niego gałązki sobie zrywają.
Potem z muzyką i chorągwiami
Znowu ich kapłan wiedzie na wzgórek,
Ostatni wtedy mówią paciorek,
Z najrzewniejszemi złączony łzami.
„Żegnajcie, mili!... pokażcie przecie,
„Kiedy wrócicie w rodzinne wioski,
„Jaki gościniec (1) od Matki Boskiéj
„Miłym sąsiadom swoim niesiecie:

(a) Wiodą, ciągną.

(*) Najznaczniejsze odpusty: na Zielone Świątki, na Matkę Boską 8 września, i na S. Michał.

(1) Gościniec znaczy podarunek.

„Ma tym gościńcem być dobra wola,
„Że się nie zrobi krzywdy nikomu,
„Że się biedaka przyjmie do domu
„ I tem opatrzy, co Bóg da z pola."
Jak ich pożegna kapłan życzliwie—
Całują jego dłoń i odchodzą,
Pobożne pieśni sobie zawodzą,
Za siebie jeszcze patrząc tęskliwie.
I rozrzewniony kapłan, łzawemi
Oczyma śledzi, jak zwolna giną—
A jeszcze z rosą pieśni ich płyną,
Kiedy on pacierz mówi nad niemi:
„Patronko nasza! coś to ustronie
„Wsławiła swoją łaską i cudem!
„Miłego Syna proś za tym ludem,
„Co tak do Ciebie wyciąga dłonie."

Złe użycie pieniędzy.

Najpewniejszém jest to mienie, do którego przez uczciwy zarobek i oszczędność przychodzimy; za dowód posłużyć może następująca powieść, osnuta na prawdziwem zdarzeniu.

Jakób stolarz (którego nazwiska przez wzgląd na żyjącą familię nie wymieniamy) był znany w Warszawie, jako człowiek zdolny w swojém rzemiośle, pracowity i dbały o utrzymanie domu, jako też trojga dziatek, które mu Bóg dał w pożyciu z uczciwą i dobrą żoną Katarzyną, i z których najstarszy synek sposobił się już w rzemiośle ojca, a w niedziele i dnie świąteczne uczęszczał do szkoły rzemieślniczej. Przez kilka lat ich pożycia nie zbywało im na potrzebach odpowiednich ich stanowi, dziateczki chodziły czysto, mieszkanko ich na Mariensztadzie było schludne, a i grosza nieco na nieprzewidziane potrzeby zebrać już zdołali. Rzadko jednak ludzie swoim stanem ciągle zadowoleni bywają; Katarzyna szczególniéj, przy dobrych swoich zaletach, miała tę wadę, iż zawsze czegoś lepszego wyglądała, i nabiła sobie głowę żądzą dojścia do znacznego majątku, myślała bowiem nierozsądnie, że tylko ludzie bogaci wolni są od troski i kłopotów.

Pewnego razu, przyszedłszy od sąsiadki, odezwała się do męża.

—„Czy słyszałeś, Jakóbie, o wielkiéj wygranéj na loteryi?"

—„Nie, nic nie słyszałem."

—„Otóż, mówiono mi, iż na wczorajszem ciągnieniu wielka wygrana padła na Warszawę; słychać, że sami ubodzy na piątkę wygrali, to jest dwie służące, stróż i dwóch woziwodów."

—„Ha! szczęść im Boże," rzekł Jakób.

—„Posłuchajno, mężu, mnie wielka ochota bierze stawić także na loteryę; dobry Pan Bóg, może się co i wygra."

—„Nie nabijaj sobie głowy Kasiu, próżnemi marzeniami; szkoda pieniędzy, których nie wytrząśnie z rękawa; raz się tam komuś przytrafiło, i myślisz, że już na ciebie wygrana czeka".

—„Ha! od czego szczęście, przerwie mu żona. Mój Boże!... a gdybyśmy też wygrali, cotoby za życie było! Ja muszę stawić koniecznie, choćby z kim do spółki."

—„Zapewne wracasz od Marcinowéj, rzekł Jakób; ta kobieta zawsze ci głowę czemś niepotrzebném nabije. Pracujmy lepiéj po dawnemu, a da Bóg zdrowie, to przy oszczędności i my do czegoś przyjść możemy. Oto masz przykład na Wojciechu stolarzu, który popadł w tę słabość grania w loteryę; czy wiesz, że on już przez swoje życie, jakie parę tysięcy złotych przegrał, i nigdy dorobić się nie może, bo go to dużo kosztuje. Ja myślę, że gdyby co miesiąc odkładał sobie po kilkanaście złotych, toby i bez loteryi po tylu latach przyszedł do znacznéj summy pieniędzy."

Mimo jednak takiego oporu męża, Katarzyna nie odstąpiła od swéj myśli: suszyła ciągle głowę mężowi, tak że ten wreszcie, dla świętéj spokojności, przystał na wzięcie piątéj części losu u jednego z kollektorów w Warszawie. Cztery klassy przeciągniono i nic nie wyszło; już Jakób robił wymówki żonie z utraty pieniędzy, gdy na szczęście, albo raczéj nieszczęście swoje, w 5éj klassie wygrali 2500 rs. Radość ich była niesłychana: Katarzyna skakała z radości, a Jakób sprosił kumów i znajomych, i przez dwa dni racząc zaproszonych, nie tknął się roboty. Jak na początek niekoniecznie dobrze zaczął, ale idźmy daléj.

Rzadko kiedy ludzie w nagłém szczęściu zachowują rozsądek; Jakób wykończywszy zamówioną robotę, nie przyjmował obstalunków; czeladź od właściwego czasu rozpuścił, i przemyśliwał nad nowém zatrudnieniem, któreby mu szybszy i większy dochód przynieść mogło. Nie zajmując się zaś dość długo robotą, już czuć zaczął nudę, tak, że sobie i miejsca znaléźć nie

mógł; po długich nareszcie naradach z żoną postanowił szynk założyć, i rzeczywiście tak zrobił. Uzyskawszy konsens, zaczął się trudnić przedażą wódek i piwa, w domu narożnym przy jednéj z ulic Warszawy.

Katarzyna w tem nowém zatrudnieniu nie przykrzyła sobie, powoli obznajmiła się z niém dostatecznie i przywykła do niego; inaczéj jednak działo się z Jakóbem. Do przedaży wódki lub piwa Jakób mieszać się nie miał potrzeby, bo z razu niewielu było odwiedzających miejsce jeszcze nieobeznane. Cóż więc miał robić?, gapić się przededrzwiami szynku, lub chodzić po mieście znudziło mu się; zaczął więc spraszać znajomych i nibyto przyjaciół od serca, których teraz jakoś coraz więcéj mu przybywało i z nimi przy pogadance wychylał z razu rzadziéj, a potém coraz częściéj kieliszki.

Najtrudniéj zacząć, pójdzie się daléj,
Zwykle ojcowie nasi mawiali.

Tak się stało i z Jakóbem: przyjaciele fałszywi jakby rośli; z nimi też najwięcéj lubił przestawać i spijać ow *szkodliwy trunek na frasunek*, a unikając wymówek żony, uczęszczać zaczął do obcych szynków, i tam zapijając, trwonił powoli pieniądze. Jedno złe mnoży inne: Jakób zapomniał wkrótce o domu, o dzieciach; żonę znienawidził za jéj rady i upomnienia, a często upiwszy się do nieprzytomności, lżył ją słowami, a potem i czynnie.

Nigdzie nie braknie oszustów, a szczególniéj po większych miastach, jak na przykład w Warszawie: niektórzy z nich umieli, jak to mówią, *zażyć go zmańki*. Odurzony gorzałką Jakób, duszęby oddał; w tym też stanie pożyczano od niego pieniądze na wieczne nieoddanie, lub zachęcano go do nowych pijatyk to po szynkach, to po ogrodach miejskich. Tak upłynęło niespełna dwa lata, w ciągu których żona trapiąc się ustawicznie i męcząc sama jedna wyprzedażą trunków, wychowaniem dzieci i zarządem domu, z rozpaczą przewidywała smutne następstwa téj nieszczęśliwéj zmiany Jakóba. Wyszynk też trunków coraz gorszym się stawał przy niedbalstwie gospodarza, i ani się obejrzeli, jak wygrane pieniądze na loteryi poszły pomiędzy ludzi. Jakób mimo to, ostatni grosz wybierał na rozpustę, lub pił z drugimi w domu nielitościwie. Wkrótce zalegli w opłatach podatków i lokalu, aż nareszcie komornik sądowy zabrał im wszystkie niemal sprzęty na poczet długów, a gospodarz mieszkanie im wymówił. Katarzyna sprzedawszy ostatnie z pozostałych rzeczy, najęła pokoik pod strychem, w domu zwanym Elerta przy ulicy Długiéj, a trawiąc bezsenne noce na posłaniu z barłogu na ziemi, opłakiwała swoję niedolę, występki męża, a bardziéj jeszcze swą myśl grania w loteryę. Aby zaś uchronić się od głodu i ostatecznéj nędzy, zajmowała się, ile sił starczyło i czas dozwalał, praniem bielizny znajomych państwa, i tém sobie jaki taki zarobek zapewniła.

Nałóg jest wieczną, trawiącą gorączką; nadzwyczajnych trzeba środków lub okoliczności, aby pijaka od używania trunków odzwyczaić. To się też okazało na Jakóbie. Pewnéj nocy, powróciwszy podpiły z miasta, stanął nad posłaniem żony. Księżyc przez okno rzucał blask do izdebki. Jakób gwałtownie wstrząsnął żoną; włos jego w nieładzie, twarz zbladła od opilstwa, broda zarośnięta, odzież poszarpana,— wszystko to śród nocy oświecone blaskiem księżyca, przestraszyłoby każdego, nietylko kobietę.

—„Gdzie masz pieniądze?“ wrzasnął na żonę; „dawaj bo wiem, że ty je ukrywasz przedemną.“ Przestraszona Katarzyna okrywszy głowę podniszczałą salopą, nic nie odpowiedziała z razu.

—„Gdzie masz pieniądze?“ wykrzyknął znowu.

—„Na miłość Boga zaklinam cię, odezwała się Katarzyna, nie dręcz mnie, ja i grosza na strawę dla dzieci nie mam. Błagam cię, upamiętaj się, Jakóbie, powróć do pracy, i ochroń nas od ostatniéj nędzy.“

—„Milcz! krzyknął Jakób, ja chcę pieniędzy; a kiedy nie dajesz, to sobie dam radę,“ i wyszedł trzasnąwszy drzwiami gwałtownie.

Odtąd minął tydzień i dwa, a o Jakóbie ani słuchu. Niespokojna biedna kobieta dopytywała się o niego u znajomych, i wreszcie powodowana smutnym domysłem udała się na ratusz, sądząc, że może nieszczęśliwy nałóg pijaństwa przywiódł jéj męża do kradzieży, i że w skutek tego został uwięzionym. W saméj rzeczy nie omyliło ją przeczucie: na wielkie bowiem umartwienie swoje dowiedziała się, iż mąż zakradłszy się nocną porą do mieszkania jednego z lokatorów dom u przy ulicy Mazowieckiéj, został schwytany przez stróża, i nazajutrz odprowa-

dzony do cyrkułu, a następnie osadzony w więzieniu.

Tak skończył biedny Jakób. Złe użycie pieniędzy doprowadziło go do próżniactwa, z próżniactwa popadł w pijaństwo, a z tego przyszedł do upadku i kradzieży.

Słonecznik.

Gdy post nadejdzie, niejedna gospodyni wielki ma kłopot, cobyto dla ludzi gotować? Chociaż ma co w garnek wsypać, ale nie ma czem okrasić. Tłuszczem lub masłem w post nie godzi się krasić, a w domu niema oleju. Czemu?— bo len się nie udał, konopi nie siano, a rzepak wiatr wymłócił. Z czegóż tu olej wybijać?— Otóż moje gosposie! ja wam poradzę.

Wszystkie zapewne znacie dobrze słonecznik, gdyż on bywa zwykle w każdym niemal ogrodzie, ale tylko dla ozdoby. Jedno ziarno może wydać parę tysięcy ziarn. Z tychto ziarn słonecznika wybija się jak najlepszy oléj; lepszy nawet od lnianego, konopnego i rzepakowego, da się on nawet długo zachować, i im starszy, tem lepszy. Zazwyczaj ogrody warzywne po wsiach opasują rowami,— na tych rowach cóż rośnie?— oto zielska rozmaite. Nie lepiéjżeby to było, gdyby na tych rowach rosły słoneczniki?—Roślina ta nie wymaga zbyt dobrego gruntu, chociaż samo się rozumie, że im lepszy grunt, tém sporzéj idzie; udaje się wszędzie, byle tylko ziemia była dobrze ruszona. Niech gospodyni zasieje sobie zagonek słoneczników w dobrym gruncie, takowe późniéj powyrywa i poprzesadza po rowach, lub między kartoflami, na stopę w odległości jedne od drugich; posadziwszy, niech je podleje; latem parę razy ziemię poruszy i oczyści z zielska, liście dolne i z boków wyrastające odnóżki niech poobrzyna dla bydła, a może być pewną, że w jesieni tyle zbierze ziarn, ile jéj potrzeba będzie na oléj. Ponieważ wróble w dojrzałych słonecznikach bardzo ziarna psują;— trzeba zatem już wtedy je zrzynać, gdy dojrzewać zaczynają, i takowe w jakiem miejscu, gdzieby wiatr przewiewał, pozawieszać. W ten sposób dojdą do dojrzałości.

Skarga.

—„Czy wiesz Kasiu, o mojem zmartwieniu? rzekła Marysia zapłakana. Otóż w jednéj chwili straciłam dwa talary, to jest całą miesięczną pracę. Jakież to teraz majstry, niech ich Bóg nie sądzi za ich robotę, boby im ciężko było pokutować za krzywdy ludzkie. Wczoraj odebrałam obstalowane trzewiki na podwójnéj podeszwie, byłam ucieszona, bo wyglądały z pozoru, że będą mocne, i wystarczą na jakie pół roku. A dziś odniosłam je do reperacyi“ —„Cóż się zrobiło z niemi“? przerwała Kasia.— Podeszwy odpadły, bo były podcięte.“— „To i memu panu tak się stało, i to u jednego z lepszych majstrów, który dosyć długo panu robił, i zawsze nieźle;— ale kiedyś, kładzie pan pierwszy raz nowe bóty i wychodzi na ulicę; ledwie uszedł kilka kroków, wraca się rozgniewany, i woła na mnie: Katarzyno odnieś bóty majstrowi, i powiedz, czy on Boga się nie boi tak ludzi oszukiwać, patrz! podeszwa odstaje.“— Zaniosłam zaraz bóty, bo z moim panem niema wiele do mówienia, i wróciłam z odpowiedzią, którą bałam się panu powtórzyć— bo szewc w miejsce tłumaczenia się powiedział. —„Te bóty do karety robione.— Jednak jak pan zaczął się dopytywać, musiałam mu powiedzieć, co usłyszałam od majstra.— A pan chociaż gniewny, uśmiechnął się, i wyrzekł:—„Poczekajno panie majstrze! ja cię umieszczę w Czytelni;“ i już chciał pisać i wymienić jego nazwisko— ale moja pani, to serce uczciwe, jak zaczęła prosić, perswadować, że to się nie godzi psuć opinii człowiekowi, i pozbawiać go kawałka chleba, pan się jakoś udobruchał, i darował szewcowi.— Ale ja nie daruję za moję pracę, wyrzekła Maryanna, i poproszę kogo, aby napisał, bo to grzech tak niesumiennie brać pieniądze.

— Ale my się zagadały— a tam panie czekają, bądź zdrowa Marysiu!— bądź zdrowa Kasiu, ale co będzie mój trzewik w Czytelni, to będzie z pewnością.

W drukarni J. Unger.— Wolno drukować. Warszawa d. 18 (30) Lipca 1856 r.— Starszy cenzor. *F. Sobieszczański.*